

*Dla Shobhy*

# Przedmowa

## do trzeciego wydania

Pytanie, które po opublikowaniu niniejszej książki najczęściej zadawali mi niemieccy czytelnicy, brzmiało: „Czy grożono już pani?”. Zawsze odpowiadałam na to z pewnym wahaniem. Rzeczywiście, w trakcie moich poszukiwań grożono mi trzy razy. Pierwszy raz w Corleone. Drugi – w kalabryjskiej wiosce San Luca. I ostatnio w Erfurcie. Podczas wieczoru autorskiego. I to właśnie spowodowało, że przełamuję w tym wypadku moją niechęć do mówienia o groźbach. To, co spotkało mnie w Erfurcie, stanowi bowiem dla mnie moment przełomowy. W Corleone i w San Luca, we Włoszech, grożono mi, ponieważ znajdowałam się na „ich” terytorium. I dlatego zaskoczyło mnie, gdy podczas wieczoru autorskiego w Erfurcie, w Niemczech, wstał pewien Włoch i wypowiedział klasyczną mafijną groźbę: „Podziwiam pani odwagę, naprawdę podziwiam pani odwagę!”. Od takiej groźby gorsze było tylko to, że inny Włoch nawymyślał mi od mafiosów. Byłam również zdziwiona, gdy Niemiec, także siedzący wśród publiczności, zaatakował mnie, oznajmiając z elokwencją, że w Niemczech pranie pieniędzy jest niemożliwe.

Nigdy bym nie pomyślała, że coś takiego może się tu zdarzyć. Gdy we Włoszech mówiłam o Niemczech, to zawsze wychwalałam je jako kraj, w którym na łąkach nie ma papierków,

a pociągi jeżdżą punktualnie, i jest inaczej niż we Włoszech, gdzie wszystko się rozłązi, gdzie mafia opanowała całe połacie kraju i przeniknęła aż do najwyższych urzędów w państwie. Gdy z entuzjazmem opowiadałam Włochom o Niemczech, zawsze mówili: *Ah, la Germania! Tutto funziona!*

Właśnie. Musiałam się nauczyć, że jednak nie wszystko tak dobrze funkcjonuje. Że pociągi w Niemczech nie są już takie punktualne. I że moja najnowsza książka o mafii, zgodnie z nakazem sądu, może być rozpowszechniana w Niemczech tylko z zacznionymi fragmentami. Zaczernienia te dotyczą treści, które włoska prasa obszernie już udokumentowała, i to bez żadnych prawnych konsekwencji.

Ale ponieważ we Włoszech nauczyłam się odkrywać we wszystkim dobre strony, czuję się wzmocniona tymi decyzjami sądu. Dowodzą one bowiem wyraźnie, że mafia nie jest problemem wyłącznie włoskim, lecz europejskim. I dokładnie taka była moja intencja: uświadomić innym, że mafia nie kryje się po zafanyh południowowłoskich wioskach, lecz żyje pośród nas. Mimo że wciąż jeszcze na naszych łąkach nie ma papierków.

# Marcello Fava

*Być obecnym przy morderstwie – to zawsze jest ohydne. Szczególnie gdy chodzi o osobę, którą znasz. I gdy nie wiesz, dlaczego ta osoba umiera albo właśnie umarła. Nie wiesz i nigdy się nie dowiesz. Bo jeśli jesteś zwykłym żołnierzem, jak to zwiemy w cosa nostrze, nie możesz się spodziewać, że cokolwiek ci wyjaśnią.*

Mężczyzna ma włosy ciemnoblond i fryzurę z przedziałkiem, jasnobłękitne oczy, niewielki podwójny podbródek i usta kobiety. Ubrany jest w ciemnogranatową dwurzędówkę ze złotymi guzikami i nieporadnie balansuje aktówką, którą trzyma na kolanach.

Spogląda na swój zegarek i na tablicę naszego lotu z Wenecji do Palermo. Zapowiadane dwadzieścia minut opóźnienia już prawie minęło. Wstaje, gdy stewardesa otwiera bramkę, i wygląda spodnie na kolanach. Sprawia wrażenie osoby dziwnie staroświeckiej. Tak to często bywa z Sycylijczykami, których życie rzuciło na północ – wyglądają, jakby wywodzili się z dawno minionej epoki. Z pewnością nosi koszulę z monogramem. Sycylijczycy celebrytują elegancję ze świętą powagą, trochę jak ten biznesmen w garniturze w jodełkę, który przechadza się przed bramką w tę i z powrotem, trzymając w dłoni małą, zgaszoną cygaretkę. Niczym w *Honorze Prizzich*. Lub jak ta kobieta z dużymi koleczkami, nosząca pończochy, których podwiązki rysują się pod ciasną spódnicą, gdy zakłada nogę na nogę. Zupełnie jak Sophia Loren we *Wczoraj, dziś, jutro*. Albo to starsze małżeństwo, przypominające statystów z kampanii reklamowej Dolce & Gabbana:

kobieta z kokiem, ubrana w czarny kostium, mężczyzna w grubej marynarce w kratkę – małżonkowie porozumiewający się ze sobą tylko szeptem, opuszczający swoją wioskę jedynie raz w roku, aby odwiedzić syna, który znalazł pracę w Veneto. Rodzice uważają to za ciężki cios. Oprócz Sycylijczyków, których widać, są jeszcze niewidzialni. Wyglądają w Wenecji zupełnie nie po sycylijsku, całkiem tak, jakby z dala od Sycylii zatracili swój koloryt. Jednak przemieniają się podczas lotu. W miarę jak zbliżają się do Sycylii, ponownie nabierają pierwotnych barw.

Mężczyzna w ciemnogrnatowej dwurzędówce wsiadł jako pierwszy do autobusu lotniskowego, nie odstawił małej aktówki na podłogę, tylko trzyma ją pod pachą, co nadaje mu dziwnie lękliwy wygląd, przywołując na myśl dziecko, które po raz pierwszy wyrusza w podróż.

*Zwykle ofiarę zabiera do jakiegoś domu przyjaciel, w miarę możliwości jej najlepszy przyjaciel, żeby czuła się bezpiecznie. Potem się ją chwytą i jeśli ma coś jeszcze do powiedzenia, to jest właściwy moment. Chciałbym zobaczyć takiego, który mając pętlę na szyi, nic nie powie. Ale wszystko jedno, czy powie, czy nie, i tak zostanie zabity.*

Gdy wsiadamy do samolotu, tracę go z oczu. Sycylijka z podwiązkami, kołysząc się, podąża przejściem w kierunku swego miejsca. Stare sycylijskie małżeństwo przepycha się między rzędami, taszcząc tyle plastikowych toreb i zawiązanych pakunków, jakby zamierzało cały swój dobytek upchnąć na półce na bagaż podręczny. Z wyjątkiem kilkorga amerykańskich turystów z nadwagą, którzy męczą się, przeciskając pomiędzy cia-

snymi rzędami foteli, cały samolot pełen jest Włochów, prze-  
ważnie podróżujących w interesach.

Z Wenecji zawsze biorę wieczorny lot do Palermo. Lubię przyjeżdżać w nocy, na tyle jeszcze wcześniej, aby zjeść kolację. Gdy już siedzę, wysyłam jeszcze dwa esemesy, jeden do Salva, mojego zaufanego taksówkarza, drugi do Shobhy, fotograficzki, z którą współpracuję już od tylu lat, że łączy nas więź podobna niemal do małżeńskiej. Uprzedzam ich, że mamy dwadzieścia minut spóźnienia, i proszę Shobhę, aby zarezerwowała dla nas stolik w restauracji.

Jak zawsze postanawiam trochę popracować w samolocie i zaczynam wertować materiał z mojego archiwum. Potem wydaję z torby książkę o tajemnicy czerwonego kalendarza prokuratora Paola Borsellina. Gdy ją otwieram, natychmiast mam poczucie, jakby ktoś czytał razem ze mną. Już się zaczyna sycylijska mania prześladowcza, chociaż jeszcze daleko do Sycylii. Za każdym razem, gdy lecę do Palermo, zadaję sobie pytanie, czy mądrze robię, przeglądając w samolocie artykuły o bossach i strategiach inwestycyjnych mafii lub odczyty na temat mafii i władzy. I czy powinienam czytać publicznie „Antimafię 2000”, gazetę, która wciąż jest rozsyłana do prenumeratorów w charakterystycznie neutralnej kopercie, zupełnie tak, jakby chodziło o gazetki pornograficzne. Czasem budzi się we mnie pewna przekora i myślę sobie: „Wszystko mi jedno”. Ostatecznie żyjemy w Europie, a nie w jakiejś Transnistrii! Włochy są członkiem założycielem Unii Europejskiej! A czasem zamykam książkę i chowam ją. Tak jak teraz.

Gdy mężczyzna w ciemnogrnatowej dwurzędówce zajmuje miejsce w tym samym rzędzie co ja, znudzona, przerzucam

kartki magazynu pokładowego, w którym piszą o tym, że mieszkanie w Wenecji to kura znosząca złote jaja, ponieważ można je wynajmować turystom przez cały rok. Mężczyzna grzecznie, ale bez zainteresowania, skinął mi głową, tak jak pozdrawia się obcą osobę, z którą nie łączy nas nic więcej niż wspólny lot. Fotel między nami pozostaje pusty, więc mężczyzna odstawia tam swoją aktówkę.

*Zanim byłem zmuszony kogoś zabić, zawsze robiłem znak krzyża. Mówiłem: „Drogi Boże, dopomóż mi! Spraw, żeby nic się nie stało!”. Nie tylko ja jeden żegnałem się i modliłem do Boga. Wszyscy to robiliśmy.*

Pamiętam jeszcze każde jego zdanie. Aby uzyskać zgodę na rozmowę, musiałam złożyć wniosek w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, przedstawić swoje motywacje i zapewnić, że nie będę stawiała pytań na temat toczących się procesów. Na nasze spotkanie musiał się zgodzić nie tylko sekretarz stanu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, ale także każdy z prokuratorów uczestniczących w procesach mafii, w których Marcello Fava występował jako oskarżony lub świadek. Aby się dowiedzieć, jak się sprawy mają, dzwoniłam początkowo niemal co tydzień do Servizio Centrale – rzymskiego wydziału Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, który odpowiedzialny jest za *pentiti*, czyli mafiosów odstępców, a którego nazwa brzmi jak nazwa tajnych służb. Szybko jednak stało się dla mnie jasne, że moje wydzwanianie nie przyspieszy sprawy. *Don't call us, we call you*. Przez pół roku nie miałam żadnej wiadomości.

I właściwie straciłam już wszelką nadzieję, gdy pewnego popołudnia odebrałam telefon z Rzymu. „Servizio Centrale” – powiedział głos. Mój wniosek został przyjęty. Miałam pojawić się w Rzymie, w barze, który na ironię losu nazywał się Lo Zio d’America – Wujek z Ameryki.

Kilka dni później taksówka wysadziła mnie kilkanaście metrów od baru. Wyglądał jak jedna z tych włoskich, podobnych do labiryntu restauracji przy autostradzie, do których się wstępuje, żeby wypić espresso, a wychodzi z pięcioma płytami CD, sardyńską kiełbasą z osła i parmezanem. Za nieskończenie długim kontuarem stali barmani w papierowych furażerkach wciśniętych na usztywnione żelem włosy. Gdy chciałam zamówić espresso, zadzwonił mój telefon. Szukałam go w czeluściach torby, z której głębi nieprzerwanie rozlegał się dzwonek, aż stojący obok mnie mężczyzna powiedział: „To ja zadzwoniłem do pani. Proszę za mną”.